**Rok 1897.** **Nr. 52.**

# ECHO LITERACKIE

**Dodatek tygodniowy do „DZIENNIKA POLSKIEGO".**

Redaktor: **Izydor Kuncewicz.**

**TREŚĆ:** Izydor Kuncewicz: *Jaśkowa Krasula.* Nowela. (Dok.) — A. Lange: *Poeci o genjuszu.* Szkic literacki. (Dok.) — Marja K.: *Rozdmuchane popioły,* (Fantazja).

## Jaśkowa Krasula.

Nowela.

(Dokończenie).

Krasula tymczasem, z szyją wyciągniętą daleko przed siebie, dysząc chrapliwie, wydobywała z płuc jęki głuche, boleściwe, zgoła jak człowiek, a dużemi swemi oczyma, to już wprost żebrała litości.

— Jakby ją od tyłu poratować, możeby się jeszcze wygramoliła z biedy!... — przyszło na myśl Jaskowi.

Ale jakże tu zajść od yłu, kiej tam bagno i topiel! — podszepnęła mu rozwaga,

— Od brzegu mógłbym wleść w wodę i poratować... Nie musi być głęboko...

Już spuścił jedną nogę w bagno. gdy żachnął się i zatrzymał na jedno mgnienie oka.

— A jak sam utonę?...

Przywiązanie do bydlęcia wnet wzięło jednak górę.

— Ha, będzie co Bóg da! Jakoś sobie dam rady, a tak i nie dam przepaść Krasuli!...

Szybko zsunął się w wodę, trzymając się jednak rękami skraju drogi, aby grunt zbadać. Grząski był, lecz wcale niegłęboko pod wodą.

Ucieszył się chłop i wraz obu rękami uchwycił Krasulę za tylne nogi, aby je z trzęsawiska wydobyć. Podsadził się raz, drugi, aż spotniał, choć ledwo że je nieco poruszył...

Pocisnął silniej, Krasula przedniemi nogami zachwyciła więcej gruntu i kark podniosła ku górze, dźwigając się mozolnie; jemu samemu atoli, prawa noga usunęła się z płytkiego

miejsca tuż przy drodze i trafiła na głębię, Nie uważał na to na razie, zebrał wszystkie siły, aż mu oczy na wierzch wylazły i w krzyżach zatrzeszczało... podsadził się potężnie i — Krasuła wydobywszy się gwałtownym ruchem z bagna stanęła na drodze.

Była uratowana!

Niestety, ów jej ruch gwałtowny przy wydobywaniu się, stał się zgubnym dla Jaśka. Oparty tylko na jednej nodze, nie mógł utrzymać równowagi i odepchnięty od skraju drogi, wpadł w samą topiel największą. Woda sięgała mu am wprawdzie zaledwie do piersi, lecz nogi miał po kolana uwięzione w rzadkim, ruchomym mule, w którym, za każdym ruchem grzązł coraz dalej.

— Jezusie ratuj, — krzyknął i po raz drugi dnia tego, rozpacz zajrzała mu do serca.

— Dyć mnie teraz zginąć przyjdzie! — pomyślał potem, czyniąc jednak zarazem nadludzkie usiłowania, aby się od niechybnej śmieci ocalić. Ale każde jego szarpnięcie się, każdy ruch, przyśpieszały ją tylko. Wnet stał w wodzie po ramiona, a trzęsawisko objęło jego nogi powyżej kolan. Głuchym głosem począł wołać ratunku, lecz daleko naokół nie było nikogo, a głos ginął bez echa w przesyconem mgłą powietrzu. Jedynie wrony poczęły drzeć się donośniej a Krasula, drżąca jeszcze z przerażenia, i jakby przeczuwając zgon właściciela, ryczeć poczęła załośnie.

Wówczas pojął Jaśko, że nic go już nie uratuje, i przyszło nań w ostatniej chwili niby uspokojenie jakieś ciche a niezwykłe...

— Ojcze nasz, któryś jest w niebie... — począł się modlić głośno, a równocześnie myśli jego błąkały się po Zabagniu, po biednem obejściu, gdzie zostawił żonę i dzieci.

Zanim skończył Ojczenasz, woda ust mu już sięgała. Błędnem spojrzeniem rzucił jeszcze ku drodze i ujrzał ryczącą Krasulę.

— Chwała Ci Jezu, że choć ją uratowałeś!... — powiedział nawpół przytomnie i była to jego myśl ostatnia.

...Zginął w przekonaniu, że spełnił święty obowiązek, ratując kosztem własnego życia — życie bydlęcia.

*I. Kuncewicz.*

# POECI O GENJUSZU.

Szkic literacki.

(Dokończenie).

Nakoniec i fizjologicznie biorąc, cierpienie daleko więcej wstrząsa naszym organiznem, daleko silniej narusza nasze tkanki, tak, że odczuwanie cierpienia jest nawet realniejsze, niżeli rozkosz; rozkosz bowiem tylko podnieca przyrodzony ruch życia, aby potem do normy powrócić; cierpienie zaś powoduje w nas zmiany, a każda zmiana pobudza umysł do działania, Prawdą jest tylko — mówi Leopardi — że wszystko jest próżnią, oprócz cierpienia. Tylko cierpienie jest rzeczywistem — mówi Szopenhauer.

Poeta, wróg rzeczywistości, bierze więc z niej to, co jest najrzeczywistszem — cierpienie. Dlatego to cierpienie, nie zaś rozkosz, wywołuje tworczość i dlatego cierpienie jest dla gienjuszu warunkiem i żywiołem.

Edgar Poe uważa melancholję za pierwiastek zasadniczy sztuki, a jeżeli Karol Morice powiada, że przeciwnie podstawą sztuki jest Radość *(Joie)*, to jest to zwykłe odwrócenie terminów, gdyż istotnem źródłem sztuki nie jest Radość, lecz pragnienie radości, tj. melancholja.

W cierpieniu są dwa pierwiastki: poczucie wygnania z Edenu i pragnienie powrotu do niego, niezadowolenie z rzeczywistości i dążenie do ideału. Dążenie to może być silniej lub słabiej liryczne lub tragiczne i stosownie do tego wewnętrzne przejawy cierpienia są mniej albo więcej spokojne lub bolesne, łagodne lub namiętne.

Z tego dążenia do ideału wypływa w genjuszu poczucie jego stanowiska, jego posłannictwa na ziemi. Genjusz to wieszcz, to pomazaniec boży, kapłan i prorok, objawiciel prawd pozaziemskich:

Nie ja śpiewam, lecz duch boży.

Te słowa Syrokomli są niczem innem, jak powtórzeniem w formie nowoczesnej słów Owidjusza: *Est deus in nobis; agitaute calescimus illo.* — Podobnież mówi Wergiljusz: *Quis deus incertum est; habitat deus.*

Pewien charakter mistyczny i nadprzyrodzony genjuszu — staje się ten sposób główną cechą poety i z tego wynika pewne jakby rozłamanie grąnic życia przyrodzonego, hipertolizm uczuć i myśli, pragnień i działania, jednem słowem to wszystko, co streścił Mickiewicz w swej *Odzie do Młodości*, uogólnił

w *Farysie*, a w olbrzymich rozmiarach rozwinął w *Improwizacji Konrada*. Trzy te poematy Mickiewicza streszczają całość poglądów romantycznych na genjusz i jego posłannictwo. Młodość — tak jak ją Mickiewicz rozumie — jest to genjalność czasowa, pełna odgadnień i przeczuć; idea zas Farysa wyobraża genjusz, w tym kształcie, jaki sobie szczególnie upodobał Słowacki: Farys bowiem jest z rodziny tych „koni rozhukanych, których Bóg nie kiełza".

Całe powietrze w Arabistanie ledwie za oddech mu stanie! Góry z drogi, lasy z drogi! Skały z drogi — Sępy z drogi! — Tak genjusz rozbija i prześciga wszystkie przeszkody. Huragan, z afrykańskich pierwszy wichrzycieli, tak mówi, patrząc na Farysa: Co tam za jeden z *wichrów*, moich *młodszych* braci?... I rozpoczyna się tytaniczna walka tych dwóch braci, walka Farysa z huraganem w której wicher powalony zostaje. Wówczas Farys oddycha, wówczas myśl jego sięga zenitu niebios i nakoniec *jak pszczoła, topiąc żądło i serce w niem grzebie, tak on za myślą duszę swą utopił w niebie!...*

Oto jest genjusz. On sięga tam, gdzie wzrok nie sięga. Orlą jest potęga jego lotu, a ramię jego jako piorun. On ruszy z posad bryłę świata i nowemi popchnie ją tory. On sięgnie tam, gdzie granicą stwórca i natura!

Rozważywszy istotne znaczenie hyperbolizmu tych obrazów, znajdziemy w nich to pragnienie pieśni absolutnej, t. j. zjednoczenia, utożsamienia pieśni z pieśniarzem, o którem wspominaliśmy już na początku. Mówiliśmy, że takie utożsamienie dałoby w rezultacie peknięcie serca poety; natura tylko stawia swoje żelazne prawo przeciw temu zjednoczeniu i kiedy Konrad chce ostatnie słowo powiedzieć, pada bezsilny i piana z ust mu się toczy. Nigdzie potęga natchnienia i jasnowidztwo genjuszu — w poezji polskiej — nie prześciga *Improwizacji Konradu*. Tu jest najgłębsze odczucie i wyrozumienie stanowiska poety — i jego cierpień — i samego tworzenia.

W najwyższem *delirium* — zaczyna się Konrad porównywać do Boga; jak Bóg tworzy on nieśmiertelność, sam ze siebie tworzy swoje światy i wciela je w słowa. Kocha je jak ojciec, jak Bóg swoje twory, bo te myśli i te czucia, te wichry i te gwiazdy, to jego własna dusza, jego krew i ciało... On samego siebie oddaję światu, samego siebie, objawionego w pieśni nieśmiertelnej, tak jak Bóg się objawił w ciałach niebieskich.

Mickiewicz wysławia genjusz, jako najbliższe podobieństwo Boga — albowiem obaj są to stwórcy. Ale jak Baudelaire'a, ów doktór teologji, co sięgnął aż do niebios i w pysze Jezusowi

zaczął urągać, zmienił się na bestję szaloną i umysł jego się obłąkał, tak też omdlał Konrad i zapienił się konwulsyjnie. Gdyby autor inaczej rzecz swą poprowadził, gdyby naprzykład doszedł do utożsamienia pieśni z pieśniarzem, pieśniarza z naturą, natury z Bogiem i gdyby tę myśl wyraził w słowach samemu Bogu wykradzionych — to mógłby paść, jak Protomeusz.

Jest to w każdym razie dzieło nieśmiertelne i ta wybuchowa — aktywna strona duszy Mickiewicza najpotężniej się wyraziła w Improwizacji, której zapowiedź stanowią Oda i Farys.

Czucia moje — wichry moje,
Myśli moje — gwiazdy moje!

W tych wszystkich utworach widzimy gwałtowny opór przeciw rzeczywistości, chęć wydobycia się z jej łona — „z planet i gwiazd kołowrotu!“ Cóż jest huragan Farysa, cóż jest ów Bóg zazdrosny Konrada, jeśli nie rzeczywistość sama, źródło cierpień i natchnień, źródło pragnień ideału, źródło siły proroczej, wiary w królestwo boże i w Atlantydę, w zwycięztwo ostateczne człowieka nad natnrą?...

Nasze życie jest pacierzem — powiada Goszczyński o poetach, a Shelley w *Protomeuszu* zowie ich „cieniem i zapowiedzią tego, czem będzie człowiek w przyszłości“.

Jeden jest świat rzeczywisty, a tysiąc możliwych — powiada M. Gnyan. Poeci żyją w światach możliwych; możliwość to idealne Elizeum, do którego duch nasz, czy chce czy nie chce, dąży wiekuiście, rozpaczą swej niewiary nawet wiarę maskując.

. . . . . gdybym swa wolę
Scisnął, natężył i razem wyświecił,
Możebym sto gwiazd zgasił a drugie sto wzniecił...

Wiara w tę potęgę urzeczywistnienie możliwości wypływa ze źródeł najdrobniejszych: z iskry, z chwilki!

Czucie — to iskra; życie to chwilka. Grom jutrzejszy dziś jest iskrą; minione wieki — to chwilka. Człowiek narodził się z iskry; śmierć to chwilka. Bóg zanim światy stworzył był iskrą tylko; kiedy światy umrą — wieczność nastanie, która będzie chwilką.

Chwila i iskra, gdy się przedłuża, rozpala stacza i zwala!
Śmiało — śmiało tę chwilę rozdłużmy, rozpalny!
Śmiało — śmiało tę iskrę rozniećmy, rozpalmy!

Tak rozdłużenie chwili, rozniecenie iskry — prowadzi do urzeczywistnienia możliwości, co stanowi ostateczny cel ideału.

Może być, że pomysł boży
Coś podobnego gdzieś tworzy,
A ziemia później dokona!
(S. Goszczyński).

lub jak idealniej wyraża się Szyller:

*Was hier als Schönheit wir empfunden,*
*Wird dort als Wahrheit uns entgegengehn...*

rozciągając w ten sposób ideał (i jego urzeczywistnienie) na nieskończoność czasu i przestrzeni.

Pięknie też wyraża się Wiktor Hugo: *Le génie c'est le surhumain sortaut de l'homme.* — Gdzieindziej zaś powiada: „Porozumiewają się oni zdaleka, nie naśladują siebie... Izajasz nie rozpoczyna nanowo Mojżesza...“

W ostatecznym jednak wyniku genjusz jest to coś — coś nieznanego, coś nieokreślonego... Jest to tajemnica, jest to objawienie najwyższe bóstwa w człowieku, jest to rozlanie się nieskończoności w duchu ludzkim. Z tego wynika charakter mistyczny i nadprzyrodzony genjuszu; z tego wynika posłannictwo nadziemskie wieszcza. Wieszcz — to *sacerdos magnus*, arcykapłan ducha, przewodnik rzesz ludzkich, wielkorządca ich dusz i twóca ich marzeń.

Nie dość tego, wówczas nawet kiedy król-duch okrucieństwo światu przynosi, kiedy cały wybucha gniewem, pogardą i nienawiścią dla ludzi (tj. dla ich nędzy moralnej) — i wówczas nawet jest on święty i kapłański.

Taki upadły i taki zużyty,
Czasem się czułem jak Anioł gorący.
Gotów ukochać świat i nieść w błękity
Tę ziemię, jako anioł wzlatujący
Z pieśnią...

Należy zaznaczyć szczególne stanowisko Leonarda Sowińskiego, rodzaj demokracyi psychicznej, w której *wielki człowiek* zostaje potępiony, jako potęga pasożytna, rosnąca kosztem miljonów; genjusz niejako okrada tłumy z inteligencji i w siebie ją przelewa; jako siła złowroga, która zgromadziwszy w sobie energję stulecia na jedną chwilę, rozniecíwszy blask i cudowność tej chwili, przygotowuje dla potomności wyczerpanie i niemoc *(Satyra)*. Stanowisko to ma pewne pokrewieństwo z ideą Króla-Ducha, tylko że u Słowackiego złowrogi charakter genjuszu stanowi przedmiot ubóstwienia.

To huraganowe pojęcie o genjuszu nie mogło nie doprowadzić do błędów, paradoksu i karykatury. Romantyzm tę nadprzyrodzoność przemienił w bezład życia, w cygaństwo artystyczne, w zerwanie ze wszelkiemi ogólnie przyjętemi zasadami: ten bezład miał stanowić o wyższości objawicieli; zerwanie z zasadami rozsądku stanowiło natchnienie. Tak rozumieli genjusz rozczochrani romantycy.

Wbrew temu klasycy genjusz poniżyli, czyniąc zeń sprawę pracy, rzemiosła, zręczności, cierpliwości. Genjusz — mówili oni — to zręczność wykonywania łatwo i dobrze; jest to imaginacja połączona ze zdrowym rozsądkiem i poczuciem piękna. Uważali oni natchnienie za rzecz szkodliwą i niebezpieczną; nakazywali je ocugłać, a bardziej rozsądkowi dowierzać; układali przepisy tworzenia i heblowania dzieł poetyckich; dawali jednem słowem artyście szablony niezmienne, nie pozwalając ruszyć się w prawo ani w lewo — poza granice oznaczone.

Pominąwszy jednak to przesadne i jednostronne pojmowanie rzeczy zarówno ze strony klasyków jak i gramatyków, widzimy że większość poetów rozumiała swoją twórczość jako rzecz nieświadomą, a jeśli który z nich nawet posiadał świadomość tej tajemnicy, to w każdym razie nie umiał znaleść dla niej słów odpowiednich.

Najdumniejsze i najprawdziwsze słowa powiedział „najpokorniejszy mąż“ Adam Mickiewicz: Chcąc pojąć mnie, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie.

Jeden z najgłębszych utworów w tym przedmiocie znalazłem u Deotymy: Świat — mówi ona — jest pełen tajemnic, ale te tajemnice odkrywa natchnienie. Mojżesz — Kopernik — Szekspir. Poczem dodaje poetka:

Lecz to natchnienie, co wśród chmur i ciemnic
Piorunem przeczuć rozdziera — docieka
Skrytości bóstwa — świata i człowieka —
Czemże jest samo? najgłębszą z tajemnic?
Najcięższa z zasłon kryje tę prawicę,
Co wszystkie inne odsuwa zasłony;
Ach, ten więc byłby najwyżej natchniony,
Ktoby natchnienia poznał tajemnicę.

*A. Lange.*

# Rozdmuchane popioły.

Śnieg pruszył białymi płatkami, lśniące tumany unosząc do góry. Mróz ścinał powierzchnie wód, zamieniając je w szklanne tafle lodu.

Na kominku płonął ogień; igrając swawolnie z iskierkami, oświecał twarz bladą, smutną i parę białych kartek rozrzuconych w nieładzie.

Miały być zapisane, miały się wypełnić tworami gorączkowej fantazji, pióro w szybkim pędzie miało gonić po tym białym terenie iluzyjne widziadła.

Lecz nie dziś!... Dziś wypadało z ręki, sztywna dłoń nie potrafiła go utrzymać, serce uspokojone, przytłumione wolą, podniosło bunt, chciało czarnemi kreskami kreślić swoje dzieje.

Wszystkie struny zadrgały. Muzyka wspomnień upajała czarującymi tonami, myśl mimowolnie odbiegała nieposłuszna, coraz więcej szczegółów przywodząc na pamięć.

Bo czyż można zapomnieć treści pierwszych snów różowych, opromienionych nadzieją jak jasnym blaskiem jutrzenki! Czyż moża zapomieć pierwszych drgań serca, pierwszych uczuć spalonych na stosie ofiarnym, pierwszych kwiatów złożonych na kirem okrytej trumnie.!...

Czyż można zapomnieć pierwszego rozczarowania, pierwszego dotknięcia zimnej dłoni rzeczywistości, co niewiarą ubarwiła czarnymi kontury pajęczą siatkę marzeń, co strzaskała gmach szczęścia, zbudowany z puchu pierwszych uczuć, świetlanych białych! Nie!... Darmo dłoń ciśnie rozpalone czoło, darmo wola wstrzymuje fale rozkołysanych myśli... Wieczór długi, zimowy, śnieg bijący o szyby zbiera nowe chmury na horyzoncie duszy, rozdmuchuje zagasłe popioły!

Bo dusza, to krater wulkanu, co wstrzymuje gorący wybuch lawy uczuć.

Ognisty potwór targa się, szamoce, roztwiera straszną paszczę, z szaloną zawziętością niszczy, pali wszystko co żyć pragnie!

Huczy, kłębi się, bucha, ciska kawałkami żarżącej się lawy, wzbija się jak wąż gorejący ku niebu, krzepnie, wygasa, rozpływa się w pył, w popiół...

Nie wystarczy modlić się ze złożonemi rękoma przed ołtarzem wspomnień! Nie wystarczy z cichem poddaniem, z schyloną głową, pieścić szkielety spróchniałych nadziei!

Serce ścina chłód gdy iskra po iskrze topi lodowy pancerz, roznieca popioły.....

*Marja K.*

zarobek wsiąknie w rodzinę! Zaznajamiać Wiery z Kotłubajewymi i Tarchowskimi nie chciała z innych przyczyn. Wiedziała, że rozpoczną się wieczne badania, babskie plotki i gadanina, które ją już teraz przerażają... Wiera i mama posiadają sztukę wnikania w cudze dusze i wywracania ich na drugą stronę, omawiając wszystko w najrozmaitszy sposób. Jeżeli już koniecznie trzeba zaznajomić Wierę, to już lepiej z Tarchowskimi... Rodzinę Kotłubajewych pozostawi Zoja dla siebie.

Wieczorem, przy herbacie, podjęto znowu rozmowę na ten temat. Kostja widocznie zawiadomił Wierę o rozmowie z Zoją, to też starsza siostra była dla niej niezwykle uprzejmą.

— Jutro napewno odbierzesz pieniądze? — zapytała matka. — Już trzeci dzień żyjemy na kredyt.

— Napewno, mamusiu. Ługińscy i Kotłubajewy dadzą jutro. O, jacy będziemy bogaci!

— Bogaci! — z goryczą szepnęła Olga Arsenjewna. — A ile nam potrzeba?

Zaczęli robić rachunek i przerazili się. Nie wystarczyłoby nietylko czterdzieści, ale nawet ośmdziesiąt rubli, aby zasłużyć znów na przywilej brania na kredyt.

Wszyscy ucichli. Mimo woli przypomniały im się te szczęśliwe czasy, w których zadowalano wszystkie zachcianki i kaprysy. „Trzeba powiedzieć papie“ — mówiono i wszystko się pojawiało, jak za dotknięciem różczki czarodziejskiej.

— Tak, trzeba zapłacić w sklepikach, pensję służbie, piekarzowi, przedewszystkiem jednak należy kupić dla ciebie ciepłe pończoszki, i kalosze, mamo. To jest koniecznem — rzekła Wiera i dumnie spojrzała po wszystkich, jakby chełpiąc się tem, że tylko ona jedna o tem pamięta

A jednak, wypadkiem tylko uprzedziła Zoję. Ta postanowiła właśnie jutro, ze swego zarobku, przynieść matce ciepłe pończochy i kalosze... Było jej przykro, że siostra niejako naruszyła jej tajemnicę, zabrała jej przyje-

mność zrobienia niespodzianki, ale nie powiedziała nic. Milczenie Zoji uderzyło i matkę i siostrę. Z przyzwyczajenia widząc zawsze coś złego w tem, czego nie rozumiały, pomyślały, iż Zoja stała się skąpą i egoistyczną.

— Droga ty moja Wieruszka! Tak się starasz o matkę!.. — porywczo rzekła staruszka.

— Oddaję każdemu, co mu się należy, mamo... Nie umiem mówić o miłości, ale za to umiem... kochać!

I Wiera szybko spojrzała na Kostję.

## VIII.

Marja Kotłubajewa chodziła zatrwożona po pokoju. Dzisiaj trzeba zapłacić za cygara, papierosy i wódkę dla ojca, trzeba oddać w sklepie za zwierzynę dwadzieścia rubli, trzeba... Dziewczyna burzyła się na myśl okropną o konieczności rozmawiania z dostawcami i ściskała ręce aż bolały.

— Co robić, co robić? Co tu począć? Boże, jaka rozpacz! Jakże szczęśliwi są ci ludzie, którzy mają prawo żyć skromnie, nie są obowiązani ukrywać swej nędzy, tak, nędzy!... Jesteśmy przecież żebrakami, tak, tak, żebrakami! — powtarzała z gniewem. — Jeszcze gorzej... Tym wolno wyciągać rękę, a nam nie! Nie mamy odwagi.

Zapukano do drzwi.

Wszedł brat Marji, oficer gwardji jednego z gorszych pułków, nie bardzo przystojny, ale sympatyczny młody człowiek, lat dwudziestu dziewięciu, Paweł Lwowicz, ubrany w „wicemundur“ z świecącym kołnierzem i mankietami. Czarne włosy miał przyczesane gładko, wąsy podkręcone, tak jakby przed chwilą wyszedł od fryzjera. Twarz młodego porucznika wyrażała jakieś zakłopotanie, oczy patrzyły przed siebie bez wyrazu.

Marja ze smutkiem spojrzała na brata. Widziała, że mu czegoś potrzeba, że przyszedł w interesie, ale się waha, ponieważ sprawa ta jest natury finansowej.

— U nas jutro będą goście. Co? Zdaje się, że to jutro „nasz“ czwartek?

— Jutro.

— Aha, otóż, moja droga, czy mogę jutro do nas zaprosić Swientickiego? Ten skrzypek, o którym opowiadałem...

— Proszę cię, poproś!

— Jak ty to dziwnie mówisz, Marjo! Jakbyś była z czegoś niezadowoloną.

— Niezadowoloną? Ginę... rozumiesz? Ginę!..

— Dlaczego? Co się stało? Ach, znowu rachunki... — dodał, ujrzawszy na stole różne notatki. — I ile?

Słowa te, zupełnie naturalne, oburzały Marję zawsze. Ile? — pytają ojcowie, mężowie, bracia — i wyjmują z portfelu potrzebną sumę, ale tutaj nie można było oczekiwać pomocy. Paweł odważnie i uczciwie walczył z nędzą, starając się nie brać nic od rodziny. Dawał lekcje gimnastyki w dwóch zakładach naukowych i w charakterze namiętnego amatora muzyki, unikał wszystkich koleżeńskich hulanek. Młody porucznik również odgrywał pewną rolę, aby ukrywać tę smutną okoliczność, iż jego ojciec stał się biednym. Ubierał się przyzwoicie, rzucał, kiedy to było potrzebnem, kilkanaście rubli, w celu podtrzymania godności munduru, ale gdy był sam, odmawiał sobie wszystkiego. Często bardzo mówił siostrze, iż należy zmienić sposób życia i nie wyciągać struny zanadto wysoko, skoro na to niema środków, ale Marja sama gorąco pragnęła takiej zmiany. Jednakowoż nie mogli nic zmienić, gdyż ojciec, jak rozpieszczone dziecko, nie uważał stanu rzeczy ani za poważny, ani za niebezpieczny. Każdą uwagę dzieci, najdelikatniejszą nawet, przyjmował jako chęć dostania go w swoje ręce, każda wywoływała wyrzuty, że Marja „nie umie“ gospodarować i dlatego wydaje tyle pieniędzy.

— Jak była Nastazja Dmitrjewna wystarczało zawsze, a dla ciebie mało! — mówił zjadliwie starzec, czerwieniejąc z gniewu. — Wygonili mi Nastazję Dmitrjewnę,

a teraz urządzają sobie kawały... Powinno wystarczyć, powinno!

I Kotłubajew zrzędził dalej, żądając tego lub owego, ustawicznie robiąc wyrzuty córce, iż wygoniła jego przyjaciółkę i gospodynię, Nastazję Dmitrjewnę, która „musiała“ wyjść za mąż i wyjechać.

Z tą faworytką ojca miała Marja wiele bardzo nieprzyjemnych przejść. Za jej czasów, prawda, wszystko szło lepiej, ale dlatego, że ojciec był jeszcze w służbie i zajmował się interesami. Ale następnie przyszedł krach i położenie stawało się z roku na rok gorszem. Nastazja Dmitrjewna chciała naciągnąć Pawła, ale napotkała na opór ze strony młodego porucznika, a ponieważ z Kotłubajewa nic można było już nic wydusić, przeto wyszła za mąż za jakąś podrzędną figurę i wyjechała do Riazania. Od czasu do czasu pisywał do niej Kotłubajew listy, pełne skarg, błagając ją, aby powróciła, ale Nastazja Dmitrjewna Łowieckaja wykręcała się obietnicami.

— Wiesz co, gotowa jestem sama prosić Łowiecką, aby przyjechała i zaczęła gospodarzyć — rzekła Marja. — Już mi sił braknie... Nie umiem, czy też...

— Nie umiesz? Przeciwnie, zdumiewam się nad twoją umiejętnością — szczerze podchwycił brat, a dręczona niedostrzegalnymi może, ale przykrymi kłopotami dziewczyna, spojrzała na niego z wdzięcznością. Tylko życzliwość Pawła podtrzymywała ją, z nim tylko mogła rozmawiać szczerze.

— Otrzymując jakieś dwieście rubli na miesiąc, żyć tak jak my żyjemy! To genjalność! Nie, nie potrzeba tutaj Nastazji, raczej...

— Co raczej?

— Raczej ożenię się z Krupinkową!

— Daj pokój, Pawle, nie do żartów mi dzisiaj...

— Jakie mi tam żarty! Panna zakochana we mnie po same uszy!

— Wiem o tem, ale wiem także i o tem, że ona ci się wcale nie podoba.

— Cóż z tego! Z czasem, pokochamy się! A ty te „katusze“ lubisz? — zapytał poważnie, wskazując na paczkę rachunków.

— Słuchaj, Pawle... Ciężko mi, strasznie mi ciężko, gdybyś ty jednak... Nie, nie, nie chcę tego nawet przypuszczać, abyś na serjo... żenił się z panną, której nie kochasz, jedynie tylko dla jej pieniędzy.

— Ach, Maryniu, toż przecież dwakroćstotysięcy, prócz... Wiesz, kiedy pomyślę, jakieby to było szczęście... Szaszka precz, mundur także, ojcu pensja, a sam zacząłbym się zajmować muzyką... Moja droga, pomyśl tylko, mógłbym dokończyć moją operę, wystawić ją... Takie szczęście!

Naumyślnie nie mówił o tem, jakaby to była ulga dla siostry, której położenie nie na żarty trapiło młodego porucznika.

Życie kobiety krótszem jest od życia mężczyzny, a Paweł wiedział, że Marja już jest bardzo dorosłą... Jeszcze kilka lat — i zaczną ją nazywać starą panną... Społeczeństwo zachowuje się bez litości wobec takich nieszczęśliwych istot. Nie pyta ono, dlaczego nie wyszła za mąż, a Marja, która całe swoje życie oddała rodzinie, będzie takim samym przedmiotem pośmiewiska jak inna, rzeczywiście niegodna szczęścia.

Paweł gorąco kochał siostrę i dziwił się głupocie mężczyzn. Z taką panienką jak Marja, może się ożenić i niezamożny człowiek. Skromna, pracowita, posiada dobre, kochające serce, a przecież wychodzą nieraz za mąż takie, że tylko ręce załamać...

Marja w milczeniu słuchała marzeń Pawła. Tak, posiada on talent, mógłby zasłynąć i zarobić wiele pieniędzy, ale na to, aby się dobić powodzenia, potrzeba właśnie tych pieniędzy.

— Ach, przeklęte, przeklęte te pieniądze! — wyrwało się Kotłubajewej. — Ile to z powodu nich trzeba znieść przykrości!

— Otóż to właśnie! A kiedy się ożenię...

— Dosyć, Pawle, dosyć... Nie do tego mi teraz... Nie wiem, co robić. Jeżeli dzisiaj nie zapłacę wszystkiego, nie będzie można wydać jutro wieczoru... Wszyscy wiedzą że to nasz czwartek. Ach, ten przeklęty Sorochtin!

— I pocóż o nim wspominasz! Ot, niespodziewany przewrót...

— A któż winien, że jesteśmy zrujnowani? On, i tylko on! Gdyby wtedy nie był naciągnął papy, nie ograbił go... Dzwonią? Ach, to z magazynu...

Marja umilkła, obawiając się, aby wierzyciel wypadkiem nie usłyszał, że ona znajduje się w domu. Paweł również milczał, przygryzając nerwowo usta. To drobnostkowe w gruncie rzeczy upokorzenie, oburzało jego dumę i znowu pomyślał:

— Żenię się, naprawdę się żenię!

Służąca podała list Marji Lwownej i wyszła. Spojrzawszy na adres, Kotłubajewa zarumieniła się i schowała kopertę pod papiery.

— Będzie! — przebiegła jej myśl przez głowę i teraz zapragnęła za jakąkolwiekbądź cenę załatwić kwestję pieniężną, aby zwykły jutrzejszy wieczór się udał i wszystko odbyło się dobrze i przyzwoicie. Marja zatęskniła za dawno już niewidzianym Chotimskim i napisała do niego. Odpowiedział następnego dnia i oświadczył, że pragnie się również z nią zobaczyć.

— Gdybyż to tylko można załatwić się z wierzycielami... Odetchnąć potem trochę...

— Czy nie można pożyczyć u kogo? — zaproponował brat, sądząc, że ożeniwszy się, będzie mógł oddać dług. — Ale pożyczyć więcej. Niech wezmą procent. Pożyczyć tysiąc, zapłacić wszystkich i uspokoić się na jakiś czas.

— Myślałam już o tem... ale zkąd oddać? Kiedy?.. Pożyczyć można od Magorina.

— Sądzisz, że da?

— Naturalnie. Proponował mi...

— Bierz, Marjo. Śmiało bierz, zapłacę. No, za pół roku.

I zauważywszy obawę jakąś w oczach siostry, Paweł dodał z wymuszonym uśmiechem:

— Nie wyobrażaj sobie czegoś strasznego... Ja tak, po prostu... Polecono mi pisać historję pułku.

Marja uwierzyła, czy też chciała uwierzyć, ale mimo to nie mogła się powstrzymać, aby nie powiedzieć:

— Tylko nie małżeństwo dla pieniędzy, Pawle, mój drogi! Na miłość boską, nie należy!.. To zguba, a nie zbawienie.

— A więc nie pozwalasz mi się żenić, siostruniu? Albo też wolno mi się żenić tylko z ubogą?

— Gdy pokochasz, wtedy...

— A bogatej kochać nie wolno?

— No, cóż, nie porozumiemy się!... Idź, Pawle, do siebie i jutro przywieź Świentickiego. Do mnie wkrótce przyjedzie Magorin.

— I nie jest ci to nieprzyjemnem, że pożyczasz u niego pieniądze?

— A cóż? Dlaczego ma być nieprzyjemnie?

— Tak... zdawało mi się, zalecał się do ciebie przez pewien czas. A i teraz zdaje się, coś...

— Po cóż o tem wspominasz! To było przed stu laty. Teraz jest żonaty, ja z jego żoną żyję dobrze... Nie, można u niego pożyczyć. On prowadzi nasze sprawy... Idź, idź, znowu ktoś dzwoni....

Zadowolony, że siostra się uspokoiła, Paweł naumyślnie nie chciał wychodzić. Zatrzymał się we drzwiach i czekał.

— A kiedyż mnie nareszcie zaznajomisz z nauczycielką? Słyszę ją, gdy czyta papie! Zdaje się, że to sympatyczna panienka?

— Bardzo przyjemna. Jutro, jutro... Ale idźże nareszcie, Pawłuszka. Znudziłeś mnie.

— Dziękuję... Doczekałam się od siostry przyjemnego słówka.

— Nie mrucz, nie mrucz!

Pożyczka nie robiła ulgi w położeniu, lecz tylko odraczała katastrofę, a Marji tak było potrzeba choć tro-

chę odetchnąć! Niecierpliwsi z wierzycieli grozili sądem, a można było ich ułagodzić, płacąc chociaż część. Zwracać się do Magorina — rzecz co prawda nie bardzo przyjemna. Paweł odgadł, ale wahać się nie było można. Z gorszego należy wybierać lepsze. A potem... czy tylko da pieniądze Leonid Iwanowicz? Marja uspokoiła się, wyobraziwszy sobie, że to takie proste... Przedewszystkiem, tak, proponował, ale wtedy zalecał się, uważał się za zakochanego i papa jeszcze był bogatym... Prawda, Magorin słyszał, że Marja nie pojechała za granicę z ojcem, dlatego, że nie było pieniędzy. Wtedy on także powiedział:

— Pożyczcie u mnie... Zawsze, zawsze jestem na wasze usługi...

Od tej pory minęło kilka lat, wszystko mogło się zmienić, ale czy się zmieniło? Magorin żonaty, ale zdaje się, nieszczególnie szczęśliwy w rodzinie, a w ostatnich czasach każdego czwartku bywa u Kotłubajewych. Marja przypomniała sobie, że patrzy na nią jakimś szczególnym wzrokiem i nagle stało się jej nieprzyjemnie. Osobiście zajęta była Chotimskim i nikim więcej...

## IX.

Magorin przyjechał później niż przyrzekł. Zoja zajęta już była Nataszą, trochę podrażniona tem, że Marja Lwowna nie oddała jej jeszcze pieniędzy.

Przypuszczać, że Kotłubajewy — ludzie bogaci, jak jej się wydawało — siedzą i duszą tego rubla, aby go tylko nie wydać, Zoja nie mogła.

— Zapomniała, napewno zapomniała... Gdzie jej tam do tego. Ale jakże ja mogę się upominać? Nie, nie, to wstyd... A zresztą, teraz nie można, Marja Lwowna ma gości...

Zoja starała się przeciągnąć lekcję, nie zwracając uwagi na przypomnienie uczennicy, że czas już skończyć. Przysłuchiwała się ciągle, czy ten gość nie pójdzie.

Dla Jurjewej było bardzo ważną rzeczą otrzymać dziś pieniądze. Popełniła maleńką nieostrożność, zwykłą zresztą

u niedoświadczonych pracownic. Przekonana, że Kotłubajewa bezwarunkowo odda jej za lekcje, Zoja wydała pieniądze otrzymane od Ługińskiej na podarunki dla mamy, siostry i Kostji a za resztę kupiła to, o co Wiera prosiła do gospodarstwa. Ale w domu czekano „na pieniądze". Były one bardzo potrzebne, potrzebne właśnie dzisiaj. Tymczasem Magorin siedział w salonie i nie myślał wcale wychodzić.

Pewną lękliwość Marji, wywołaną przez list Chotimskiego i po części przez konieczność pożyczenia pieniędzy u Leonida Iwanowicza, Magorin objaśnił sobie jako korzystną dla siebie. Magorin należał do „ludzi przypadkowych". Wyszedłszy z prostej klasy ludzi, zbogacił się, zaczął jeździć rysakami, brać nagrody i uważać się za ważną osobistość. Ożenił się dla pieniędzy, ale żony nie kochał i długo i uporczywie patrzył na Marję Lwownę. Jako człowiek praktyczny nie spodziewał się powodzenia pod względem romansowym, ale wierzył w potęgę rubla.

Kotłubajewa nie wyróżniała go zpośród innych a nawet jak mu doniesiono odzywała się o nim z lekceważeniem panienki z dobrego domu o dorobkiewiczu, który, nagle wyskoczył na wierzch, dzięki dwom, trzem sprawom, na których zarobił.

Silny i grubawy, zachwycał się właśnie delikatnością i wdziękiem Marji i często w drodze do domu od Kotłubajewych, po wieczorze u nich, na którym wszystkiego było trochę mało, ale za to wyborowe rzeczy po pańsku — Magorin chrząkał i kręcił głową. W domu umiano rozumieć znaczenie takich oznak.

Leonid Iwanowicz zazdrościł innym i ganił swoje. Nazajutrz żona musiała wysłuchać wielu szorstkich uwag, drwin i kpin, a obok tego pochwał dla Marji Lwownej Kotłubajewej, u której kartofle w mundurkach są smaczniejsze niż trufle, a u nas trufle, jak kartofle."

Gdyby Magorina kochała męża, mogłaby znienawidzić Marję, ale prosta kobieta ceniła tylko swój spokój

domowy i dlatego pokornie i naiwnie prosiła Kotłubajewę, aby ją nauczyła, jak się gospodaruje.

— Od was przyjdzie, nie może się nachwalić, a w domu to to, to tamto.

Marja z chęcią dzieliła się swemi wiadomościami, a następnie w żartach docinała Magorinowi, że swej dzielnej żonie sprawia przykrości. I w rzeczy samej Marja żałowała Katarzyny Mikołajównej, bardzo dobrej i poczciwej, ale ograniczonej kobiety, zdolnej do dowodzenia przez pół godziny, że latem jest gorąco a w zimie zimno. Nikt jej naturalnie nie przeczył a ona ośmielona tem, puszczała się na ilustracje.

W takich chwilach Magorin nie mógł wytrzymać. Przykrzył mu się sam dźwięk jej równego, monotonnego głosu, to też krzyczał dziko:

— Zamilkniesz ty nareszcie?

Katarzyna Mikołajówna mięszała się, płakała i wzdychała, uważając się za nieszczęśliwą.

— O pogodzie ani mi się waż mówić!.. I mnie mówią — Boże mój — o gazetach, o carze, o wszystkiem... a ty...

Powoli Leonid Iwanowicz do tego doprowadził swoją Katarzynę, że ta już więcej trzymała język za zębami. Tylko w towarzystwie pań, a szczególniej Marji Lwownej skarżyła się ustawicznie, ile dusza zapragła.

— Nawet mnie mowy pozbawił! Dawniej sądziłam, myślałam, a teraz nawet i myśleć nie śmiem — mówiła biedna tłuściocha, wybladła wskutek niezwykłej musztry.

— No i cóż porabia kochana Katarzyna Mikołajówna? — zapytała między innemi Marja Lwowna. — Wybieram się do niej ciągle, ale naprawdę dotychczas nie było kiedy.

— Nieprzyjemności? Kłopoty macie?

— Nie, poprostu nie było kiedy.

Magorin zamilkł. Marję zaczęła krępować jego obecność, a jednocześnie obawiała się, że może natychmiast odejść.

Rozpocząć rozmowę o pieniądzach, to rzecz bardzo trudna; wstyd... a nie wypowiedzieć swej prośby, jeszcze straszniej. W przedpokoju rozlegał się dzwonek i Marja wiedziała, kto dzwoni, z kim prowadzi walkę wierny służący.

— Oczekujecie kogo, Marjo Lwowno? Może przeszkadzam?

— Wcale nie... jestem wam tak rada.

— Nawet rada? A to z jakiego powodu?

Leonid Iwanowicz spoglądał na nią przeciągłym, prawie chciwym wzrokiem.

— Czyż nie wiecie! że my wszyscy, i ja jesteśmy bardzo przychylnie usposobieni dla was i dla Katarzyny Mikołajównej?

Magorin pokręcił głową. On również zafrasował się trochę, aczkolwiek dobrze obmyślił plan swego działania. Wczoraj jeszcze kupił wekselek starego Kotłubajewa, a dzisiaj przyjechał w pewnym celu.

— Jeżeliście przychylnie usposobieni w rzeczywistości a nie w słowie tylko, to... Mam do was interes. Można z wami pomówić w cztery oczy?

— Bądźcie łaskawi.

— A tu nikt nie przyjdzie?

— Przerażacie mnie, Leonidzie Iwanowiczu! — rzekła Marja, śmiejąc się, ale śmiech ten brzmiał jakoś niewesoło.

— Wam może co wiadomo? — zapytał Magorin z szczerem współczuciem.

Kotłubajewa miała się czego obawiać, a ta wieczna obawa wyraziła się w tej porywczości, z jaką Marja Lwowna powstała i zamknęła drzwi.

— Jest tam u mnie nauczycielka. Może wejść tutaj, aby się pożegnać. (— Aj, aj, aj, trzeba jej przecież dziś zapłacić! — przypomniała sobie Marja Lwowna i zarumieniła się silnie.) Więcej nikt nam nie przeszkodzi.

— Bądźcie łaskawi. Cóż takiego może mi być wiadomem? — dokończyła Marja, zapanowawszy zupełnie nad sobą.

Inteligentny lichwiarz-chłop, jakim był Magorin, zazdrościł prawdziwym panom. Przycisnąć ich gdzie można, nacieszyć się swoją siłą — oto była dla niego ogromna przyjemność. Kochał Marję, kochał, kochał z całym zapałem nieokiełzanej natury rosyjskiego zarozumialca, a mimo tego, z całą przyjemnością dręczył tę biedną dziewczynę, chcąc doprowadzić rzecz do upragnionego końca.

Marja rumieniła się i bladła; oburzała się, ale wyrachowanie brało górę nad uczuciami moralnemi i fizycznemi. Magorin trzymał w garści honor Kotłubajewych, a mimo tego Marja postępowała z nim dumnie i spokojnie. Inna przestraszyłaby się i nie wiedząc jeszcze o niczem, zaczęłaby szlochać, jak szlocha Katarzyna Mikołajówna, gdy pierogi albo się przypiekły, albo niedopiekły, a ta... formalnie jakby Magorina słuchała z łaski.

— Chcieliście mnie zawiadomić o czemś ważnem — przypomniała dziewczyna, zafrasowana jego milczeniem, myśląc, że teraz nie będzie można od niego pożyczyć pieniędzy.

— Tak, chciałem. Ot, w czem sprawa... Wiecie, że wasz ojciec dał weksel Łowieckiej?

— Weksel? Jej? Nastasji?

— Dmitrjewnie — dokończył Magorin. — I wielki weksel, na dwadzieścia tysięcy. Na każde żądanie płatny. A wiecie, co to znaczy? Jak zechce to jutro może zażądać.

Leonid Iwanowicz uśmiechnął się z jakimś dziwnym grymasem. Marja siedziała ze zwieszoną głową. Ta niespodziewana wiadomość trafiła w nią jak obuchem jednocześnie niemal rozwiązując jej ręce.

Tu już nie było z czem walczyć. Czyż warto było dom pokrywać dachem, lub też troszczyć się o fundament, skoro się rozpoczęło trzęsienie ziemi!..

## X.

— Ona, ta osoba, a raczej jej mąż służący kancelaryjny w Riazaniu, pragnie sprzedać ten weksel, który

zupełnie przypadkowo dostał się w moje ręce. Mój znajomy zaczął się wypytywać czy warto go kupić.

Magorin wyczekał jedną i drugą chwilę, spodziewając się, że Marja coś odpowie.

Kotłubajewa milczała. Zajęta była pytaniem, skąd wziąć sto rubli, a tutaj przychodziło rzucać tysiące. Sprawa, obchodząca ją z bliska, stawała się obcą.

— Powiedziałem mu, że nie warto, i odstąpił. Weksel mam u siebie. Chcecie, to go kupię.

— Po co? — zapytała Marja, starając się być spokojną, chociaż w niej się wszystko gotowało, a w gardle zasychało jej ze wzruszenia. — Pocóż to macie czynić? Otrzymać połowę, nawet trzecią część tej sumy od ojca — rzecz niemożliwa. Uratować nas, to jest papę — rzecz także niemożliwa...

— A wasz proces?

— Wierzycie w niego? — odpowiedziała Marja pytaniem na pytanie. — Wreszcie, jeżeli się nawet stanie taki cud i wygramy proces, to... Nie, nie mówmy o tem. Nie trzeba, nie trzeba...

Marja powstała, ściskając dłońmi skronie. Magorin spostrzegł, że sprawa wzięła inny obrót, nie ten, jakiego sobie życzył... Ani przerażenia, ani łez, ani próśb, słowem niczego podobnego.

— Mam nadzieję, że proces można wygrać — zauważył skwapliwie Leonid Iwanowicz. — Mówiłem z adwokatem. Nie wszystko, ale część odbić można, i co za tem idzie, położenie wasze może się poprawić.

Marja chciała coś powiedzieć, ale Magorin ją powstrzymał:

— Dosłuchajcie mnie do końca. Ja kupię ten weksel... Postanowiłem już, i tak będzie, ale... trzeba, aby wasz ojciec nie dał drugiego, dla tego, że...

Znowu się uśmiechnął i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że drugi raz kupować nie będzie.

Kotłubajewa zmięszała się, było jej wstyd, czuła się obrażoną.

— Proszę was nie robić czegoś podobnego — rzekła stanowczo. — Dla nas już nie ma ratunku. Wszystko jedno... ruina jest nieuniknioną, niechże ona teraz nastąpi, gdyż teraz dzięki wekslowi...

Marja traciła oddech ze wzburzenia, z gniewu, który wybuchł przeciwko ojcu, postępującemu jak nierozsądne dziecko, jak egoista.

Magorin milcząc, spoglądał na nią z współczuciem, a ten wzrok usposabiał Kotłubajewę do zupełnej szczerości. Działać było niemożliwem, ale mówić się chciało — i ginąc, krzyknąć, że się ginie nie z własnej winy. Małoduszne pragnienie. Ale ktoby się mógł od niego powstrzymać w takiej chwili? Kotłubajewej stanęło przed oczyma całe jej świetne na pozór, a okropne w rzeczywistości życie — zaparcie się osobistego szczęścia i spokoju w imię obowiązku wobec rodziny; stanęło jej przed oczyma naiwne zachowanie się tego, któremu składano te bezkrwawe ofiary...

Głośno, jak oskarżająca, śmiała a nie skarżąca się ukradkiem, wypowiadała Marja swój pogląd.

— Żyjemy nad stan... zaciągamy długi, nie mając możności ich spłacenia — mówiła — a ja sama, ja, staję się oszustką. Obiecuję zapłatę, ale czem zapłacę sama nie wiem.

— Tak, tak, rozumiem. Wasz ojciec, to pan. Nie może się pogodzić z biednem, szarem urządzeniem... Już oddawna patrzę i dziwię się, jak wy sobie dajecie radę.

— Widzicie? No, no, jestem bardzo rada. Jeszczeby też! Znacie gospodarstwo. Ale gdybyście wiedzieli o wszystkiem, o wszystkiem... Mamy około dwustu rubli na miesiąc. Te pieniądze — i opłata za lekcje, które daje mój brat i mój zarobek za tłómaczenia... Ale ja muszę pracować ukradkiem. Gdyby się ojciec dowiedział — bieda! Hańba! Brać bez możności oddania, to nie wstyd, ale pracować na pieniądze — to hańba! I wszystko, wszystko tak u niego. Trzymam brutalną kucharkę. Dlaczego? Dlatego, że inna nie pomagałaby mi w oszukiwaniu wszystkich. Tak, tak.

Muszę oszukiwać. Papa pragnie wydawać *jours fixes*. Nudzi się bez gości, bez winka. Potrzebna mu jest masażystka, lektorka, potrzebne są dobre cygara i kieliszeczek, jeden kieliszeczek, ale drogiego likieru lub koniaku. A kolacja? U nas musi być dobra kolacja, wino, ciastka, słodycze, wszystko musi być, gdyż inaczej... będę znosiła takie wyrzuty, wymyślania, ach Boże! Ojciec przywykł do jednego sposobu życia i nie można mu się sprzeciwiać, nie można, nie wolno. Wy nie wiecie, ale żeby kupić taniej wszystkie produkty, uciekam się do sztuczek. Kupujemy bite jaja, zamiast całych, czerstwe bułki zamiast świeżych i znowu je przypiekamy... my... no, zajmujemy się fałszowaniem, a wszystko jedynie tylko dlatego, aby ktoś nie pomyślał sobie, że jesteśmy biedni!

Marja uśmiechnęła się gorżko. Magorinowi stało się serdecznie żal biednego dziewczęcia, ale nie przerywał jej, rozumiejąc, że te skargi, których ona potem sama pożałuje, zawsze ulżą zbolałej duszy.

— I oto, gdy u nas toczy się taka szalona, męcząca, przykra walka z nędzą, papa — wiecie o wszystkiem, dla tego też mogę mówić z wami otwarcie — papa wystawia weksle! Jakichże tu sił potrzeba? Czyż warto walczyć, dręczyć się, skoro...

Dziewczyna nie dokończyła rozpoczętego zdania, a grube łzy potoczyły się jej po policzkach, łzy bezsilności, gorżkie łzy żalu do siebie, do swego straconego życia.

— Nie płaczcie, uspokójcie się droga Marjo Lwowno! Naprawimy wszystko...

Marja słyszała tylko pierwsze słowa, a siła protestu znów się obudziła w jej duszy.

— Nie płakać? Uspokoić się? Ale my przecież giniemy, giniemy! Dzisiaj... no formalnie zmysły tracę, nie wiedząc, czem zapłacić konieczne długi! Dręczę się na myśl, że papa będzie jutro bez cygar, bez wina... a tu tysiącami się rzuca... Wiemy o tem doskonale z Pawłem... jutro wygrywamy proces, a papa gotów jest oddać wszystko Łowieckiej.

— On zawsze był takim wasz, ojciec. Ale dawniej było czem rzucać, a teraz — nie ma czem. Tak, Marjo Lwowno, o wekslu pomówimy jeszcze, a tymczasem... Powiedzieliście, że jesteście dla mnie przychylnie usposobieni... dajcie tego dowód... Pozwólcie mi... No, słowem, pożyczcie sobie u mnie rubli... rubli.. Ile wam tam potrzeba?

Marja była delikatna i dobrze wychowana. Oburzył ją frazes, zupełnie naturalny w ustach Magorina: „Ile wam tam potrzeba?“ Dając pieniądze, trzeba było jej zdaniem być więcej łagodnym i uprzejmym, niż kiedykolwiekbądź, a Leonid Iwanowicz przywykł mówić o interesach tonem kapitalisty i takie zachowanie się uważał za rzecz zupełnie naturalną.

— Miłość miłością, a rubel rublem — myślał sobie i nie spiesząc się wcale wyjął portfel.

Marja mimowoli spojrzała i o mało nie krzyknęła głośno. „Tęczówki“ dusiły się tam i wydawało się, że wyrywają się na wolność.

— Pięćset wystarczy tymczasem? — zapytał Magorin, wyjąwszy pięć tęczówek, ale nie zamykając jeszcze portfelu. — Nie krępujcie się wcale! Mogę...

Chełpliwa nuta w głosie Magorina, świadomość swego własnego poniżenia i ból — wszystko to razem owładnęło Kotłubajewą.

— Dosyć... dosyć!... Dziękuję wam... Oddam... Mogę ręczyć za to.

Magorin z zadowoleniem spojrzał na Marję. Cierpiąca istota zniknęła, przed nim stała znowu ta dumna i spokojna arystokratka, którą on kochał i której jednocześnie nienawidził.

— Czyżby odegrała ze mną komedję? — pomyślał śledząc pilnie, jak Marja chowała tęczówki do kieszeni. — Nie, nie, to wszystko duma... Wychowanie! Okazywać wzruszenie, to rzecz nieprzyzwoita. Moja naprzykład, zarazby zaczęła wyć i ryczeć!...

dzący obok Zoji, mówił do niej, że Kotłubajewa podobna jest dzisiaj do Juljetty...

— Ale kto jest Romeem? Strzel w łeb, nie mogę odgadnąć! — zakończył.

— Dzielna kobieta, ta Marja Lwowna!

— Tak, dzielna i dlatego nieoceniona według zasługi. Kiedy jeszcze była młodszą i kiedy jeszcze posiadali majątek, nasza miła gospodyni oczekiwała następcy tronu, królewicza. Teraz zaś...

— A czyż oni biedni dzisiaj?

— Zrujnował ich również Sorochtin — zupełnie spokojnie, jako rzecz zwykłą wymówił Sawurskij i opowiadał dalej różne szczegóły o Marji, o jej ojcu i bracie, nazywając tego ostatniego naturą artystyczną, człowiekiem utalentowanym i dobrym.

Marja troskliwie ugaszczała Zoję, ta jednak, pomimo, iż była głodna, nie jadła nic... W tym domu, gdzie napadano na jej ojca, wśród ludzi, którzy Sorochtina uważali za łajdaka, nie mogła ani jeść, ani pić. Powinna była stąd uciekać, ale...

Zoja widziała teraz w praktyce, jak trudną jest rzeczą, prawie niemożliwą, pozostawać stałą i bronić swych przekonań. Odejść, wyrzec się lekcji, zerwać stosunki, tak, to nie trudno, ale trjumfując, będzie powodem tego, iż rodzina będzie przymierała głodem.

Zoja została. Miała nadzieję, że zaznajomiwszy się z Sawurskim, dowie się od niego o wszystkich szczegółach, o całej prawdzie, która napawała ją strachem i pociągała ku sobie.

Wielu z gości pojmowało, jakie nieprzyjemne wrażenie wywiera Łowieckaja i w celu podkreślenia swego szacunku dla Marji, na wyścigi jeden przez drugiego wznosili toasty na cześć uprzejmej gospodyni.

Łowieckaja zieleniała ze złości; stary Kotłubajew niezadowolony był z takiego nietaktu i obrzucał córkę gniewnym wzrokiem, a Chotimskij rozkoszował się, widząc ogólną sympatję dla Marji Lwownej. Teraz zaczynał ją

kochać daleko więcej, to też pragnął zaznaczyć, że nie jest tylko zwykłym znajomym. Na kolacyjkach w swojej sferze, Chotimskij wygłaszał niekiedy toasty, ale tutaj nie znano jego zdolności pod tym względem i wszyscy spojrzeli po sobie ze zdumieniem, gdy młody człowiek wstał i pokaszlując, zastukał nożem w talerz. Marja przelękła się. Był to wybuch czysto macierzyńskiej obawy o synka, który po raz pierszy pokazuje swoją sztukę.

— Pozwólcie mi powiedzieć kilka słów, szanowny... — zaczął Chotimskij zwracając się do starego Kotłubajewa.

Wszyscy słuchali z uwagą: jedni z uśmiechem, inni poważnie. Oskar Władimirowicz wyszedł z honorem z próby. Zręcznie dobrane i obowiązkowo pochlebne frazesy zawsze wywołują przyjemne uczucia. Głaszczą one słuch i naturalnie wywołują wdzięczne uśmiechy. Chotimskij umiejętnie dotknął gościnności gospodarza, uprzejmości Marji i talentu Pawła. Marja Lwowna odetchnęła głęboko.

Dopiero teraz poznała całą potęgę obawy o Oskara Władimirowicza. Wpatrując się w twarze gości, ujrzała, że toast Chotimskiego podobał się wszystkim, to też stało się jej jeszcze przyjemniej. Nie miał się czego wstydzić i tyle, ale Marji wydawało się, że Oskar Władimirowicz dokonał czegoś zadziwiającego, wspaniałego.

— Bardzo, bardzo dobrze! Jaką macie wymowę! — szepnęła Marja, gdy Chotimskij podszedł do niej.

— Mówiłem tylko dla was.

Chotimskij oblizując się, jak leniuch, który przypadkiem zarobił piątkę, powrócił na swoje miejsce na szarym końcu, a Marja śledziła go czułym wzrokiem.

— Tutaj, obok siebie posadziłabym ciebie najdroższy — myślała Marja, sama potęgując swoją miłość do człowieka, który nie przedstawiał wogóle nic zajmującego.

— Ot, i zadziwił mnie nasz Mołczalin — szyderczo rzekł Magorin, zwracając się do Marji. Co mi za jeden! Mowy wygłasza...

— O kim mówicie? — zapytała Marja zimno. — Ach, tak, o Oskarze Władimirowiczu... No, i cóż tu w tem śmiesznego? Powiedział bardzo dobrze...

Magorin wzruszył ramionami.

— To zależy od gustu... Nie lubię takich narzucających się ludzi.

Marja przemilczała to. W duszy jej kipiało pragnienie wystąpić w obronie ukochanego, ale nie śmiała powiedzieć ani jednego słowa. Magorin pomógł jej dzisiaj... powinna więc być dla niego uprzejmą, łaskawą, ukrywać swoje uczucia.

Blade przemówienie Chotimskiego podrażniło Sawurskiego. Zoja powiedziała, że lubi słuchać mowy, więc przystojny adwokat wstał, odrzucił włosy w tył i wygłosił świetny toast. Wszystko przycichło, zamarło; wszyscy patrzyli na Sawurskiego, bojąc się poruszyć, aby nie przeszkodzić mówcy. Pobudzony obecnością zajmującej studentki, Lew Daniłowicz zabłysnął. Zdawało się, że chciał pokazać swoją siłę i rzeczywiście przez piętnaście, dwadzieścia minut, Sawurskij w zupełności przykuł uwagę wszystkich do siebie. Słuchacze śmieli się, potem stawali się poważnymi, prawie ponurymi, a następnie łzy zadowolenia ukazywały się na ich rzęsach. Panował nad wszystkimi, zniewalając ich do myślenia i czucia tak, jak sam chciał. W formie toastu opowiedział adwokat sprawę, która w tych dniach będzie rozpatrywaną w sądzie, a obraz za obrazem występował przed wzrokiem słuchaczy.

Zoja drżała zdenerwowana. Słuchała, nie spuszczając oka z twarzy Sawurskiego, a ten, wiedząc doskonale o wrażeniu, jakie wywołuje, nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

— Boże, co za potęga słowa! — myślała Zoja. — Tak, takim powinien być głosiciel prawdy, dobra i rzeczywistości. Tak, taki zmusi do myślenia po swojemu. Jak on lekko, obrazowo, jak pięknie mówi. Mądry!

Huczne oklaski towarzyszyły ostatnim słowom toastu, a wśród ich szumu skłonił się Sawurskij do Zoji i szepnął:

— Jakże się cieszę, że *wam* się to podobało.

Trącano się z Sawurskim, chwalono go, zachwycano się nim, i tylko dwoje ludzi nastrojonych egoistycznie, było z niego niezadowolonych. Chotimskij, który sądził, iż adwokat przemawiał umyślnie, aby zniweczyć wrażenie jego mowy, i Marja, której wydawało się, iż nietaktowną jest rzeczą okazywać swoją siłę... Dla niej mowa Chotimskiego była lepszą. Nie przygotowywał się przecież, nie był adwokatem!

— Patrzcie, Zoja Jurjewna, oficer chce was zjeść — szepnął jej Sawurskij.

Paweł ustawicznie patrzył na Zoję, mnąc w rękach machinalnie kulkę chleba. Twarz Kotłubajewa była blada, oczy wyrażały boleść. Patrzył na Jurjewę i rzeczywiście myślał o niej i o Sawurskim.

— Na czem polega tajemnica uroku takich ludzi, jak Lew Daniłowicz? Co pociąga ku nim mężatki i panny? Sława, moda? Dziwne! Nie pojmuję! Oto i ta miła, rozsądna, skromna dziewczyna, i ta się przecież... poddaje, Tak, chyba wszystkie je pociąga pragnienie odniesienia zwycięztwa nad człowiekiem, który kobiecie odmawia wszystkiego, prócz zabawy. Każda z nich myśli: nie poddam się. A tymczasem... Czyżby i Zoję czekał ten sam los? Nie, ostrzegę ją!...

## XVII.

Nazajutrz, wszyscy Kotłubajewy wstali późno i pili herbatę w swoich pokojach.

— Poproś do mnie Marję Lwownę — rzekł stary Kotłubajew do służącego, rzucając ledwie co zapalone cygaro i zapalając drugie.

— Wyszła... Zaraz przyjdzie.

— Nigdy w domu niema... nigdy... I gdzie ona łazi? — gniewał się stary, zapominając, że Marja nie jest już małą dziewczynką. Nie można to powiedzieć ojcu?...

Nowe porządki! Za dwie godziny przyjedzie Netty, a przecież muszę wypełnić jej prośbę... muszę. Żeby się tylko ten proces skończył! Siedzieć bez rubla... przecież nie jestem mieszczaninem, ani czynownikiem!

Po upływie godziny weszła do gabinetu ojca, Marja, cokolwiek blada i widocznie wzburzona. Przed chwilą napisała do Chotimskiego list, i obawiając się plotek, sama go zaniosła na pocztę. Służący powiedział jej. że „pan gniewają się“. A Marja wiedziała, o co rzecz idzie... Wczorajsza wizyta Łowieckiej nie mogła pozostać bez następstw. Ta chytra, zawistna i zła kobieta, niewątpliwie szepnęła ojcu coś nieprzyjemnego i ten się gniewa. Gorzkie uczucie napełniało duszę Marji. Dobrze składać ofiary i okazywać zaparcie się siebie, ale trzeba widzieć jeżeli nie uznanie, to przynajmniej pojmowanie, a tutaj... Wieczne wymaganie, wyrzuty, i nigdy ani słowa uprzejmości, ani czułości!... Brat kocha Marję, szanuje ją, ale to zimne zachowanie się nie mogło zadowolnić Marji Lwownej. Jej potrzeba ciepła, ogrzewającego duszę i dziewczyna z zachwytem myśli o „swoim“ Oskarze Władimirowiczu.

— Jest kochana, nareszcie kochana!

Marja weszła do kaplicy na Zagorodnem i tutaj, postawiwszy świecę przed obrazem Zbawiciela, niedługo, ale gorąco modliła się do Boga, prosząc o szczęście i błogosławieństwo dla swego związku.

— Boże, zlituj się nademną, zlituj, zlituj! — myślała i sama litowała się nad sobą, opłakując przeszłość i ciesząc się przyszłością.

— Papo, wołaliście mnie...

Podeszła do ojca, aby go pocałować w rękę. Siedział przy oknie, w swym głębokim fotelu. Ubrany w szlafrok na czerwonej podszewce, z napuchłymi woreczkami pod maleńkiemi, biegającemi oczkami, pełny, z obwisłymi policzkami starzec, wydawał się dziś szczególnie, niesympatycznym. Gdy Kotłubajew się gniewał, zaczynał zawsze z groźnego tonu i przechodził w żałośny, robiąc wyrzuty wszystkim i wystawiając się za męczennika. To ostatnie

najwięcej ze wszystkiego bolało Marję i wywoływało gniew Pawła. Oni oboje składali niewidoczne może, ale bardzo ciężkie ofiary, postępując uczciwie według swego obowiązku, a ojciec zrzędził i wymagał rzeczy niemożliwych.

— Powiedzże mu nareszcie całą prawdę — mówił Paweł.

— A czy ty myślisz, ze on jej nie zna? Nie chce jej znać, oto wszystko!

I teraz, całując pulchną rękę starca, Marja pomyślała, że ojciec wie, jakiem jest ich materjalne położenie i może zapyta się:

— Jakim sposobem udało się wczoraj wydać tak doskonałą kolację, przekąski takie przygotować, kupić tyle dobrego wina?

Omyliła się jednak.

Kotłubajew gotów był ganić wszystko, dlatego, że Netty, to jest Nastasja Dmitrjewna Łowieckaja prosiła go o pieniądze, a on pieniędzy nie miał. Chytra kobieta nie mogła wytrzymać i zwróciła uwagę na wspaniałość uczty i zauważyła, że wszystkiego podano za mało!

— Gdyby ktoś przyszedł po nad oznaczoną liczbę, wtedy skandal! Pamiętam, jak to u was podawano dawniej. Ach, jak wy umieliście żyć!

Łowieckaja wiedziała, że takie rozmowy denerwują starego, wzbudzają gniew jego na Marję. Gdyby nie było Marji, tej „wstrętnej starej panny", Łowieckaja z pewnością umiałaby wyjść za Kotłubajewa, uważanąby była za panią domu, damę poważną... Marja przeszkodziła temu... Posiadając dorosłe dzieci, Kotłubajew jakoś nie mógł się ożenić, i oto Nastasja Dmitrjewna mściła się na nich obojgu, wyłudzając od starca pieniądze i obmawiając i córkę i syna, pod pozorem przyjacielskiego współczucia i szacunku dla „rodziny Kotłubajewych".

— I gdzieżeś ty się podziewała, Marjo? Dziwna rzecz! Rano, a ciebie w domu nie ma!.. Nie możesz się najeździć po tych magazynach!

— Byłam w cerkwi, papo.

— W cerkwi... w cerkwi?.. — nieufnie powtórzył stary. — Powiedziałabyś przynajmniej, że jedziesz... I w jakiej to cerkwi byłaś?

— Na Zagorodnem... w kaplicy.

Kotłubajew milczał. Bębnił palcami po stole i nareszcie rzekł:

— Gdy wrócisz do siebie, to przynieś mi, no, z pięćdziesiąt rubli...

— Nie mamy pieniędzy, papo!

— Jakto nie ma? Odebrałaś przecie moją pensję? Czy to tak dawno? Przed pięciu dniami zaledwie! Sto rubli na pięć dni... Sprytnie, mądrze...

— Bierzemy na kredyt w sklepach, papo... Trzeba było popłacić długi...

— A poco je robisz? Poco, pytam się? Nie, przy takiem gospodarstwie zrujnujesz mnie do szczętu. To nie do wiary! Po dwadzieścia rubli dziennie, a jemy, czort wie co... Nie, tak nie można...

— Papo, pokażę wam rachunki... Przecież cały miesiąc...

— A co mi do twoich rachunków? Właśnie mi ich potrzeba! Napisać można, co się komu podoba. Teraz sam będę prowadził gospodarstwo. Sam! Dość tego nieładu. Przynieś mi wszystkie pieniądze, książki, rachunki, a kucharka niech do mnie przychodzi po dyspozycje...

Marja wiedziała, czem się kończyły podobne wybuchy. Pieniądze, przeznaczone na cały miesiąc, wydawano w przeciągu dwóch, trzech dni, a potem starzec wściekał się, krzyczał, że go okradają, i rzucał książki i rachunki w twarz Marji, robiąc jej wyrzuty, iż wyparła Nastasję Dmitrjewnę, tę najidealniejszą gospodynię, która umiała z niczego zrobić coś.

Przykrem i oburzającem było dla Marji słuchać takich oskarżeń, ale ojciec był stary, chory i zrzęda... Trzeba zapanować nad uczuciem i uspokoić ojczulka.

— Dobrze, papo, zaraz przyniosę.

Marja wyszła i powróciła zaraz z paczką rachunków, na których napisano było, po kurzemu, co wzięto ze sklepu.

najwięcej ze wszystkiego bolało Marję i wywoływało gniew Pawła. Oni oboje składali niewidoczne może, ale bardzo ciężkie ofiary, postępując uczciwie według swego obowiązku, a ojciec zrzędził i wymagał rzeczy niemożliwych.

— Powiedzże mu nareszcie całą prawdę — mówił Paweł.

— A czy ty myślisz, ze on jej nie zna? Nie chce jej znać, oto wszystko!

I teraz, całując pulchną rękę starca, Marja pomyślała, że ojciec wie, jakiem jest ich materjalne położenie i może zapyta się:

— Jakim sposobem udało się wczoraj wydać tak doskonałą kolację, przekąski takie przygotować, kupić tyle dobrego wina?

Omyliła się jednak.

Kotłubajew gotów był ganić wszystko, dlatego, że Netty, to jest Nastasja Dmitrjewna Łowieckaja prosiła go o pieniądze, a on pieniędzy nie miał. Chytra kobieta nie mogła wytrzymać i zwróciła uwagę na wspaniałość uczty i zauważyła, że wszystkiego podano za mało!

— Gdyby ktoś przyszedł po nad oznaczoną liczbę, wtedy skandal! Pamiętam, jak to u was podawano dawniej. Ach, jak wy umieliście żyć!

Łowieckaja wiedziała, że takie rozmowy denerwują starego, wzbudzają gniew jego na Marję. Gdyby nie było Marji, tej „wstrętnej starej panny", Łowieckaja z pewnością umiałaby wyjść za Kotłubajewa, uważanąby była za panią domu, damę poważną... Marja przeszkodziła temu... Posiadając dorosłe dzieci, Kotłubajew jakoś nie mógł się ożenić, i oto Nastasja Dmitrjewna mściła się na nich obojgu, wyłudzając od starca pieniądze i obmawiając i córkę i syna, pod pozorem przyjacielskiego współczucia i szacunku dla „rodziny Kotłubajewych".

— I gdzieżeś ty się podziewała, Marjo? Dziwna rzecz! Rano, a ciebie w domu nie ma!.. Nie możesz się najeździć po tych magazynach!

— Byłam w cerkwi, papo.

— W cerkwi... w cerkwi?.. — nieufnie powtórzył stary. — Powiedziałabyś przynajmniej, że jedziesz... I w jakiej to cerkwi byłaś?

— Na Zagorodnem... w kaplicy.

Kotłubajew milczał. Bębnił palcami po stole i nareszcie rzekł:

— Gdy wrócisz do siebie, to przynieś mi, no, z pięćdziesiąt rubli...

— Nie mamy pieniędzy, papo!

— Jakto nie ma? Odebrałaś przecie moją pensję? Czy to tak dawno? Przed pięciu dniami zaledwie! Sto rubli na pięć dni... Sprytnie, mądrze...

— Bierzemy na kredyt w sklepach, papo... Trzeba było popłacić długi...

— A poco je robisz? Poco, pytam się? Nie, przy takiem gospodarstwie zrujnujesz mnie do szczętu. To nie do wiary! Po dwadzieścia rubli dziennie, a jemy, czort wie co... Nie, tak nie można...

— Papo, pokażę wam rachunki... Przecież cały miesiąc...

— A co mi do twoich rachunków? Właśnie mi ich potrzeba! Napisać można, co się komu podoba. Teraz sam będę prowadził gospodarstwo. Sam! Dość tego nieładu. Przynieś mi wszystkie pieniądze, książki, rachunki, a kucharka niech do mnie przychodzi po dyspozycje...

Marja wiedziała, czem się kończyły podobne wybuchy. Pieniądze, przeznaczone na cały miesiąc, wydawano w przeciągu dwóch, trzech dni, a potem starzec wściekał się, krzyczał, że go okradają, i rzucał książki i rachunki w twarz Marji, robiąc jej wyrzuty, iż wyparła Nastasję Dmitrjewnę, tę najidealniejszą gospodynię, która umiała z niczego zrobić coś.

Przykrem i oburzającem było dla Marji słuchać takich oskarzeń, ale ojciec był stary, chory i zrzędа... Trzeba zapanować nad uczuciem i uspokoić ojczulka.

— Dobrze, papo, zaraz przyniosę.

Marja wyszła i powróciła zaraz z paczką rachunków, na których napisano było, po kurzemu, co wzięto ze sklepu.

„Kasza, kartofle, krupy, znowu kasza, ryż, i t. d.“ Pieniędzy przyniosła Marja tylko trzy ruble z czemś.

— Więcej nie ma, papo. Teraz znowu możemy brać na kredyt przez cały miesiąc, a potem... trzeba będzie zapłacić.

— Doskonały sposób! Długi groszowe, a ani grosza w kieszeni... Cudowny porządek, ani słowa! Gospodyni! Jakimże ty sposobem wydałaś wczorajszą kolację, kupiłaś wina, owoców? — zapytał podejrzliwie Kotłubajew.

Nie wierzył córce, sądząc że coś przed nim ukrywa. Sam, podczas materjalnego dobrobytu, oszukiwał i żonę i przyjaciół, starając się pozostawiać do swego rozporządzenia „przypadkowe“ kwoty.

— Ukrywa coś, albo nie umie gospodarzyć! — myślał stary.

Pierwsze, zdaniem jego, byłoby lepszem, ale Marja patrzyła przed siebie roztargniona, jakby była winną i Kotłubajew znowu zaczął zrzędzić jak zwykle.

Nieumiejętność, brak zapobiegliwości, wszystko razem! Trzeba sobie przypomnieć, jak żyli dawniej. Pełna szklanka, obfitość, a teraz... hańba! Zaledwie pieczeni wystarczyło.

— Jakże zrobiłaś kolację, skoro nie miałaś pieniędzy? — powtórzył ostro Kotłubajew i wzruszył ramionami.

— Miałam... niewielkie oszczędności.

Powiedzieć ojcu o pożyczce u Magorina — to znaczyłoby wskazać mu źródło, z którego Kotłubajew zacząłby czerpać z właściwą mu lekkomyślnością, nie troszcząc się o oddanie.

— Oszczędności! Pocóż było zwoływać gości, jeżeli...

— Sami chcieliście, papo.

— Zawsze masz odpowiedź gotową, zawsze! Wiecznie ząb za ząb! Mówię, że *takich* gości... po co to zapraszać taką hołotę, jak Jurjewy, Chotimscy, Boliny?

Marja spłonęła. Chciała bronić Chotimskiego, lecz wystąpiła w obronie Jurjewej.

— Nie mów mu nic. Jutro będziesz miał trzy tysiące...

— Dostaniesz? Uratujesz mi życie i honor.

— Idz teraz. Jeżeli ci się zapyta „on“ o mnie, powiedz, że mnie niema w domu. Przyjdę pózniej.

Marja pozostała sama. Blada siadła w fotelu i zaczęła myśleć nad sobą. Wszystko runęło jakby w przepaść. Poco strzedz uczciwości? Poco się oszczędzać, skoro mamy płacić za cudze winy?

— Pana ruszył paraliż. Doktor krew puszcza — rzekła służąca, wchodząc. — Oto recepta. Dajcie pieniędzy.

Marja nie miała nic.

— Poszlij tymczasem za swoje. Pójdę natychmiast po pieniędze — rzekła z dziwnym uśmiechem. — Zaczekaj zresztą. Pojedziesz z listem do Magorina. Zaraz napiszę.

Marja siadła i napisała: „Zgadzam się na wszystko. Ojciec umiera“.

Po upływie półgodziny otrzymała odpowiedź: pudełko od cukierków, napełnione tęczówkami. Ile tego było, Marja nie liczyła. Wzięła trzy tysięły i wręczając je bratu, rzekła spokojnym tonem:

— Udało mi się. Szybko, wszak prawda?

— Ale zkąd...

— Nie pytaj się. To do ciebie nie należy.

Stary Kotłubajew miał się bardzo zle. Nie mógł już mówić.

Trzebaby go dać do szpitala — radził lekarz. — W domu kłopoty i... drogo.

— Nie, ojciec tu zostanie, a fundusze wystarczą.

## XXXV.

Borzienko z mężem wyjechała za granicę.

Wizyty bardzo częste Heleny Fiedorównej gniewały Zoję. Mimowoli kochała Sawurskiego, a to uczucie, które starała się tłumić, potęgowało się dzięki zazdrości. Zoja słyszała nieraz śmiech Borzienko w saloniku podczas gdy sama siedziała w gabinecie nad robotą. Wszystkie jej do-

tychczasowe pojęcia uległy zmianie. Uczono jej za młodu, że dobro jest pięknem, a złe wstrętnem, i cóż się pokazało?

Wiera żona Karobowa, którego nie kocha, ale wszyscy uważają ją za uczciwą, pomimo iż kokietuje z Kostją i Tarchowskim.

— Może się mylę, ale sama widziałam ją wychodzącą z mieszkania Kostji. Zrobiła z niego pomocnika adwokata i udawała dobrodziejkę. Anna cierpi, widząc, iż Tarchowskij ciągle kręci się koło Wiery. A ta Burzienko! Mąż umiera, a ona tu aj się śmieje!

Zoja drgnęła. Zdawałoo się jej, że w maleńkim saloniku rozległ się głos histerycznego śmiechu.

— Scena? — pomyślała. — Płacze, napad histerji... Komedjantka! Będą koło niej skakali, a ty męcz się, pracuj, nikt na ciebie nie spojrzy.

I zaczęła biedaczka dumać nad sobą, widząc że wszyscy dokoła niej jakoś się zmieniają.

Nawet Olga Arsenjewna zmieniła się. Nie chciała brać pieniędzy od Zoji, mówiąc, że jej nie potrzeba. W końcu pokazało się, że uie spłacono wielu drobnych wierzycieli, Zoja więc zaczęła ich płacić powoli.

Między Zoją a matką zaczął się wytwarzać jakiś chłód. Wiera nie zapraszała matki do siebie, uważając, że dla niej nieodpowiednie towarzystwo, sama jednak przyjeżdżała do matki dość często, ale zawsze się spieszyła. Zoja musiala wysłuchiwać pochwał Wiery i uciekała z domu Dobrze jej było tylko u Sawurskiego, ale i tu z pojawieniem się Borzienkowej stawało się ciężko. Dopóki mąż był zdrów. Helena nie tak często odwiedzała Sawurskiego, ale teraz nic jej nie krępowało.

Niekiedy Zoja zachodziła do Kotłubajewych, sympatyzując z Marją i ubolewając w duszy nad jej losem.

## XXXVI.

— A to męka! — rzekł Sawurskij, wchodząc do pokoju. — Teraz nikt nam nie przeszkodzi. Trzeba się wziąć do roboty. W tych dniach muszę wyjechać.

— Odprowadzić Borzienko?

— Nie. Dlaczego nie chcecie pomówić ze mną otwarcie? Gdybyście wiedzieli, jaki ja jestem nieszczęśliwy.

— Wy nieszczęśliwy?

— Więcej niż myślicie. Zgadnijcie, komu zazdroszczę?

— Komu?

— Wam. Zazdroszczę, jak tonący w falach morskich zazdrości temu, kto stoi na górze.

— *Mnie* zazdrościć? *Ja* szczęśliwa? — i Zoja uśmiechnęła się gorzko.

— Macie swoje przykrosci w rodzaju miłości niepodzielanej..

— Ja? Co to znaczy?

— No, kochacie przecież Pawła Kotłubajewa!

— Ja go kocham?

— Po co to ukrywać? Wiem, że i on was kocha...

— Z czego to wnosicie?

— Umiem patrzeć i domyśliłem się wszystkiego. Wasza uczucie jest szczere, u was niema obłudy, wy możecie człowieka przekształcić...

— A jeżeli kocham nie Kotłubajewa, lecz kogoś innego — zawołała zapominając się. — Nie zauważacie tego?

— Zoja! Najdroższa! Prawda? Kochasz mnie? Mnie? — i Sawurskiej rzucił się ku niej, okrywając je ręce pocałunkami. — Przebacz mi wszystko, weź mnie napraw, ratuj, Zoja, bo ginę!

Słowa „małżeństwo“ nie wymówiono, ale rozumiało się ono samo przez się. Zoja ode chnęła całą piersia. Teraz Sawurskij należy do niej na zawsze i ona oddała mu się całą duszą.

## XXXVII.

Minęło kilka tygodni. Zoja bywała codziennie u Sawurskiego, rozkoszując się szczęściem wzajemnej miłości. Nie chodziła teraz ani do Anny, ani do siostry.

Sawurskij prowadził jakiś wielki i korzystny proces i przyjeżdżał do domu tylko na obiad, do Zoji, która nań czekała. Szczęścia ich nie mąciło nic, Sawurskij wydał surowy rozkaz nie wpuszczania żadnej z „tych“ dam. Raz jednak podczas nieobecności Sawurskiego wpadła do pokoju Borzienko, i zażądała papieru.

— Nie mogę być w południe, przyjadę wieczorem.

— Lew Daniłowicz w sądzie. Przyjedzie późno.

— Wiem. Dziś się proces kończy.

— Nie sądzę.

— A ja wiem napewno. Bywałam, na wszystkich posiedzeniach.

Zoji zrobiło się przykro, że Sawurskij ją oszukuje.

— Wasz mąż dawno umarł?

— W dwa tygodni po naszym wyjeździe na wieś... Ach, jak mi niedobrze. Trochę wody dajcie.

Helena pobladła i rozpięła stanik. Zoja podała jej wodę i patrząc na Borzienko, pojmowała tę okropną tajemnicę, której młoda kobieta nie starała się wcale ukrywać.

Przyszedłszy do siebie Helena odjechała; Zoja pozostała sama.

— Koniec mojego szczęścia. Teraz wszystko jest jasnem. Kocha, nie kocha, ale ożenić się z nią musi. Nie może być przecież matką nielegalnego dziecka. Nie pozwolę na to!

Sawurskij wrócił zadowolony i wesoły.

— Była tu Helena Fiodorowna — rzekła Zoja spokojnie.

— Szalona kobieta! Czy wiesz czego żąda?

— To co jej powinieneś dać: małżeństwa! Domyśliłam się od razu.

— Wyrachowanie we wszystkiem! — oburzał się Sawurskij — Moje dziecko... Tak, być może.

— Milcz! Nie zabieraj mi ostatka! Rozstając się z tobą, chcę cię jednak szanować.

— Rozstać się? Oszalałaś! Kocham cię jedną tylko.

— Być może, ale tylko dlatego, że jeszcze nie jestem twoja, nie zupełnie twoja. Musisz się z nią ożenić — dodała i wyszła bez pożegnania.

Sawurskij był pewny, że Zoja powróci, nieraz już pogniewali się — omylił się jednak. Zoja nie przychodziła, lecz natomiast zjawiła się Borzienko i zupełnie owładnęła sytuacją.

Zoja nie mogła sobie znaleść miejsca. Pewnego razu poszła do Kotłubajewych i zastała Marję płaczącą. Chotimskij napisał bezczelny list, w którym groził, że wszystkie jej listy wręczy Magorinowi, jeżeli ich Marja Lwowna nie wykupi za pewną oznaczoną z góry sumę.

— A wam co do Magorina?

— Dziecko drogie nie wiesz o niczem...

I opowiedziała Zoji o wszystkiem.

## XXXVIII.

Minęło kilka miesięcy. Nastała jesień i wszyscy zaczęli powracać do stolicy. Powróciła i Zoja, która z Marją wyjechała na Krym. Zaraz na wstępie powiedziała jej Olga Arsenjewna, że Borzienko umarła, wydawszy na świat syna i że Sawurskij przysyłał po Zoję kilka razy, a nawet przysłał list. Zoja chwyciła go gorączkowo i zaczęła czytać.

„Dopiero teraz po „jej“ śmierci oceniłem wasz postępek, Zoja. Umarła, dowiedziawszy się o waszem poświęceniu, zapisując wam swoje dziecko i mnie. Chcecie nas przyjąć?“

Zoja pobiegła czemprędzej do Sawurskiego, a w miesiąc potem została jego żoną. Oboje rozpoczęli ciche życie rodzinne, a on wiedział, że Zoja da mu to szczęście, którego on nawet nie wart.

*
* *

Wiera jest także szczęśliwą po swojemu. Jeździ co roku do wód, gdzie zjawia się Tarchowskij. Spotkania ich są przypadkowe i nikt się nie ośmieli powiedzieć coś ubliżającego o żonie Siemiona Siemionowicza, a zresztą on by temu nie uwierzył.

Biedna Anna wyjechała na wieś i została nauczycielką, Marja Kotłubajewa po śmierci ojca wyszła za mąż za Magorina, któremu nareszcie udało się odczepić od swej Katarzyny.

— Widzisz Zoja — mówił Sawurskiej do żony. — W Wierze tkwi iskra ambicji i zarobku, dziedziczna. Ona postępuje niemoralnie, ale na podstawach prawnych. Każdy, kto potępi Kotłubajewę, pochwali twoją siostrę, a tymczasem...

— Czyż je można porównywać? Marja poświęciła się dla ojca i brata, a Wiera... poświęca wszystkich dla siebie.

— Tylko ty jedna, mój drogi wyrodku, i sama nie zginęłaś i wyratowałaś innych. Twój ojciec narobił wiele złego, ale ty odkupujesz jego grzechy.

Zoji było przykro, że nie może po dawnemu bronić ojca, ale widziała, ile krzywdy ludziom wyrządziło jego dążenie do szczęścia.

KONIEC.